OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.

OSTATNIE WIADOMOŚCI KRAKOWSKIE

Kupon premjowy nr. [illegible] września 1934 r.

Prenumerata miesięczna zł. 2·50 z odbiorem w administracji

10 gr.

Rok IV. Kraków, poniedziałek 1 października 1934 r. Nr. 280

Min. Beck wraca z Genewy

Na dworcu odbędzie się manifestacyjne powitanie

Cała Polska śledziła bacznie obrady Ligi Narodów, śledziła bieg tej sprawy, która interesuje nasze państwo. Chodzi o traktat mniejszości narodowych. Przypominamy, że traktat.. ten jest częścią składową Traktatu Wersalskiego, ale nie obowiązuje wszystkich państw. Delegat Polski min. Beck postawił wniosek o rozciągnięcie ważności te go traktatu na wszystkie państwa — gdyż Polska nie ma zamiaru pozbawiać mniejszości narodowych praw—albowiem dotychczasowa praktyka wskazuje wszystkich państw. Delegat używany jest przez pewne państwa, jako narzędzie polityczne go nacisku. W razie odrzucenia polskiego wniosku, Polska wstrzyma się od wykonania po stanowień traktatu i płynących z niego zaleceń Ligi.

Wniosek Polski został wycofany, gdyż nie miał widoków przejścia. Była to formalność. Pozostaje jednak druga część oświadczenia delegata Polski, z tego stanowiska Polska się nie wycofała.

Dzisiejsze manifestacyjne powitanie wracającego z Genewy ministra spraw zagr. Becka ma na celu wskazanie wszystkim, że pozycja zajęta w Genewie przez min. Becka posiada poparcie całego społeczeństwa, i że on był jego wyrazicielem.

Na „boku" obrad genewskich toczyły się rokowania o pakt wschodni. Tutaj ostatni dzień przyniósł największą sensację: odpowiedź Polski na propozycję przystąpienia do tego układu. Wiadomo już naszym Czytelnikom z depesz, że odpowiedź piśmienna nie zawiera nic ponad to, co min. Beck ustnie oświadczył francuskiemu min. spr. zagr. Barthou. A więc wątpliwość w wartość tego nowego układu, podkreślenie specyficznych warunków Polski, naszą owocną pracę nad ustaleniem i utrwaleniem dzieła pokoju w Europie Wschodniej, wreszcie warunki od których spełnienia Polska uzależnia przystąpienie do Paktu Wschodniego.

Odpowiedź piśmienna nie została jeszcze ogłoszona, mimo to prasa francuska wypisuje wiele na ten temat. I co najważniejsza ostro atakuje Polskę, przyczem ataki nie ograniczają się bynamniej do zajętego przez Polskę stanowiska wobec paktu Wschodniego. Prasa atakuje metody całej naszej polityki zagranicznej, zarzuca naszej polityce, że odwraca się od Francji i idzie na pasku Niemiec.

Ton prasy francuskiej wobec Polski staje się niestety coraz ostrzejszy. Jest on wyrazem pogarszających się stosunków między Polską a Francją. A to bynajmniej nie należy do objawów radosnych.

Sojusz z Francją nie może i nie powinien nic ucierpieć z powodu rozbieżności zdań obu rządów w sprawach bieżących, gdyż sojusz ten jest jednym z fundamentów pokoju europejskiego.

Prasa francuska nie może zapomnieć, że Polska nie jest wasalem ale wielkiem państwem, którego interesy nieraz nie pokrywają się z interesami Francji. W takich wypadkach obowiązkiem państwa zaprzyjaźnionego jest zrozumieć ową odrębność, a nie kłaść kłody pod nogi i rzucać nieuzasadnione oskarżenia, jak to czyni w tej chwili prasa francuska. Czyni to dlatego, że kierownictwo zagranicznej polityki Francji postawiło sobie za cel przeprowadzenie paktu Wschodniego, w którym widzi zabezpieczenie pokoju, a Polska nie podziela tego poglądu.

31 marca 1936 r. odbędą się wybory w Warszawie

W „Dzienniku Ustaw" z dn. 29 b. m. ukazało się rozporządzenie Rady Ministrów, dotyczące tymczasowego zarządu m. Warszawy. Ustala ono, że organy, pozostające obecnie przy władzy, pełnić będą swoje funkcje jedynie do dn. 31 marca 1936 r. Do tego terminu zostanie dokonany wybór nowych władz na mocy specjalnej ustawy, będącej obecnie w opracowaniu.

Poza tem rozporządzenie ustala organizację tymczasowego zarządu miasta. Składa się on z prezydenta, pięciu wiceprezydentów i 36-u radnych miejskich. Wszyscy członkowie zarządu miasta są ustanawiani przez nominację.

Kontrolę działalności zarządu sprawować będzie komisja rewizyjna, powołana przez ministra Spraw Wewnętrznych.

Wielka katastrofa kolejowa w Anglji

9 zabitych i 25 ciężko rannych wydobyto dotychczas z pod zgruchotanych wagonów

LONDYN. PAT. Wczoraj o godz 9-ej wieczorem expres, zdążający z Londynu do położonej na północo - zachodnim wybrzeżu niedaleko Liverpoolu największej miejscowości kąpielowej w Anglji Blackpool, zderzył się niedaleko Manchesteru koło stacji Winwich z pociągiem lokalnym, popędzanym wagonem motorowym.

Expres, idący z szybkością 60 mil czyli 69 km. na godz. wjechał na wyruszający właśnie ze stacji Winwich lokalny pociąg całą siłą, miażdżąc znajdujący się w tyle wagon motorowy. Lokomotywa expresu wjechała na dach następnego wagonu pociągu lokalnego i jakby stanęła dęba. Pierwsze dwa wagony expresu przebite zostały nawylot.

Dzięki temu, że maszynista w ostatniej chwili puścił w ruch hamulce, katastrofa ograniczyła się tylko do dwuch wagonów. Inaczej cały skład obu pociągów uległby zniszczeniu.

Z pod szczątków rozbitych wagonów wydobyto dotąd 9 zabitych i 25 osób ciężko rannych.

Zniesienie 3 funduszów państwowych

Dnia 29 b. m. zostało ogłoszone i weszło w życie rozporządzenie P. Prezydenta o zniesieniu 3 funduszów państwowych. Skasowane zostały: państwowy fundusz gospodarczy, państwowy fundusz kredytowy i fundusz na przedterminową spłatę długów państwowych.

Majątek funduszów kredytowego i na spłatę długów przekazany został skarbowi państwa a majątek funduszu gospodarczego państwowemu funduszowi budowlanemu z wyjątkiem akcji przedsiębiorstw przemysłowych, które przejmuje skarb państwa.

Dzierżawca kasyna w Bukareszcie

chciał wytruć wszystkich oficerów

BUKARESZT. PAT. Dzienniki piątkowe podają sensacyjną wiadomość o zbrodniczym zamiarze wytrucia wszystkich oficerów, stołujących się w kasynie oficerskim w Bukareszcie.

B. dzierżawca kasyna starał się dla przeprowadzenia tych niecnych zamiarów pozyskać bibljotekarza kasyna i dosypać pewnego dnia do potraw silną dozę strychniny. Bibljotekarz nie dał się jednak do tego namówić i zawiadomił wojskowe władze sądowe.

Sąd okręgowy w Krakowie
Wydział III karny.
dnia 25 września 1934 r.
Sygn. III. Pr. 207/34

Sąd okręgowy, Wydział III karny w Krakowie na posiedzeniu w dniu dzisiejszym po wysłuchaniu wniosku Prokuratora Sądu okręgowego w Krakowie wydał następujące

postanowienie:

1) Zatwierdza się po myśli §§ 489, 493 austr. proc. karn. zarządzoną i wykonaną przez Starostwo Grodzkie w Krakowie konfiskatę czasopisma „Ostatnie Wiadomości Krakowskie" nr. 270 z dn. 21.IX.1934 r. z powodu treści artykułu zamieszczonego na stronie 5 p. t. „Sąd doraźny w Równem" w całości — albowiem treść tego artykułu zawiera znamiona występku z art. 14 rozp. Prez. Rzeczp. z 16.II.1928 Nr. 18 poz. 160 Dz.U.

2) Zakazuje się dalszego rozszerzania skonfiskowanej treści powyższego artykułu, a zakaz ten ma być ogłoszony w przepisanej formie w najbliższym numerze czasopisma „Ostatnie Wiadomości Krakowskie" i w dzienniku urzędowym.

3 Cały nakład skonfiskowanego druku ma być zniszczony.

Przewodniczący: Dr. Hubl. w. r. Prezes Sądu okręgowego.
Protokulant: Szymański w. r.

Za zgodność:
Sekretarz:

Piccard chce lecieć na polskim balonie

aby dotrzeć ponownie do stratosfery

PARYŻ (PAT). Cała prasa z uznaniem pisze o zwycięstwie balonów polskich w raidzie o puhar Gordon - Bennetta. Nietylko podnosi sprawność polskich lotników, ale i fakt, że zwycięskie balony są w całości wykonane w Polsce. Kilka pism zamieszcza fotografje Hynka i Pomarskiego oraz ich życiorysy.

Ponadto pisma donoszą, że fabryka balonów wojskowych w Polsce **otrzymała wezwanie do złożenia oferty na budowe balonu stratosferycznego dla profesora Piccarda**, co świadczy o zaufaniu, jakie żywi zagranica do polskiego przemysłu wojskowego.

Zbrodnia w wagonie kolejowym

została wyjaśniona

PARYŻ, (PAT). W związku ze znalezieniem w pociągu Ventimiglia — Paryż zwłok dwóch osób, policja ogłasza sensacyjne szczegóły.

Jak się okazuje, jednym z zabitych, przy którym znaleziono dokumenty na nazwisko Aliberta, jest urodzony w Polsce Józef Ziffer.

Przed 11-tu laty Ziffer w wykonaniu decyzji rady familijnej zamordował swoją szwagierkę, śpiewaczkę Helenę Zawuską. Zwłoki zamordowanej znaleziono pod Dieppe, lecz ustalenie jej tożsamości nastąpiło dopiero w r. 1933, czyli po 10 latach od zamordowania.

Policja polska aresztowała męża zamordowanej i jego siostrę. Oboje oni skazani zostali na wieloletnie więzienie. Przeciwko mordercy policja francuska wysłała listy gończe, jednak że Ziffer zacierał za sobą ślady.

Dopiero niedawno paryskiej policji kryminalnej udało się ustalić, że Alibert i Ziffer, to jedna i ta sama osoba. Aresztowanie jego było kwestją dni.

Balon „Polonia" w drodze po zwycięstwo

Kpt. Janusz opowiada o locie

HELSINGFORS (PAT). Korespondent P. A. T. w Helsingforsie opisuje na zasadzie opowiadania kapitana Janusza następujące nowe szczegóły podróży i lądowania balonu „Polonja".

Po wystartowaniu z Warszawy widzieliśmy wpobliżu nas tylko jeden jedyny balon francuski. Następnie weszliśmy w strefę deszczu. Przypuszczaliśmy, że będziemy lecieć nad Smoleńskiem a później w kierunku Karelji do północnej Finlandji lub północnej Szwecji. Lecieliśmy jednak w kierunku bardziej na północ nad Kownem, Wilnem, Pskowem i Kronsztadtem. Warunki atmosferyczne tymczasem pogarszały się i coraz trudniej było się orjentować.

Natrafiliśmy na chmury, które ciągnęły się od 200 mtr. do 8 tys. mtr. nad powierzchnią ziemi. W miarę posuwania się balonu w kierunku północnym, temperatura spadała i wpadliśmy w groźną burzę śnieżną.

Mieliśmy przez pewien czas obawę, że wiatr popędzi nas nad jezioro Ładogę, szczęśliwie jednak kierunek wiatru się zmienił i posuwaliśmy się w kierunku jeziora Saima.

Zauważywszy w pewnej chwili, iż powłoka balonu pokrywa się lodem i nie mogąc zorjentować się co do miejsca, gdzie się znajdujemy, zaczęliśmy rzucać balast, później prowiant i wreszcie aparaty tlenowe, które spuściliśmy ze spadochronem na ziemię.

Wkońcu znaleźliśmy się nad wodą. Zdołaliśmy opuścić balon bez przeszkód nad powierzchnię, wypuściliśmy trochę gazu. Balon unosił się nad wodą, gondola zaś była pod wodą. Silny wiatr popychał nas w kierunku jednej z wysp.

Mój towarzysz popłynął w kierunku jednej wyspy, ja zaś w kierunku drugiej. Obie wyspy oddalone były około 500 mtr. od stałego lądu. Wrszcie zostaliśmy uratowani przez rolnika fińskiego Parkkinena.

Kpt. Janusz ze wzruszeniem opowiadał o gościnnem przyjęciu w Finlandji przez ludność i władze. Za żywność i mieszkanie nie chciano wziąć od niego ani grosza. „Tak przyjaźnie i tak dobrze nie byłem jeszcze nigdy w żadnym kraju podejmowany!" — zakończył kpt. Janusz swe opowiadanie.

Hr. Potocki oddał wielki majątek

na walkę z chorobami

Dn. 28 b. m. zmarł w Helenowie pod Warszawą Jakób hr. Potocki, przeżywszy lat 71. Oprócz majątku rodowego posiadał on rozległe klucze, rozrzucone niemal po całej Polsce, szereg posiadłości zagranicą oraz bezcenne zbiory dzieł sztuki i bibljoteki.

Zmarły znany był w Polsce z ogromnej szlachetności i ofiarności wyrazem tego stał się jego testament, mocą którego cały majątek hrabiego zapisany został na cele fundacji walki z chorobami, a zbiory przeszły do muzeum i bibljotek narodowych.

Powiadomiony o tem P. Prezydent Rzplitej nadał zmarłemu ofiarodawcy wielką wstęgę orderu „Polonia Restituta".

Mężatka w rękach sutenera

Kolega męża wykrył w domu schadzek straszną prawdę

Niezwykła skarga wpłynęła do policji obyczajowej, złożona przez Władysława K. (Hoża 30), że żona jego jest zmuszana przez kochanka do uprawiania zawodowo nierządu i oddawania zarobionych w ten sposób, pieniędzy Bolesławowi Marcinkowskiemu.

Potworna ta sprawa obyczajowa, poprostu jedyna w swoim rodzaju ma ohydne podłoże. Stanisława K. poznała Marcinkowskiego, będąc jeszcze panną, w roku 1919 i odtąd utrzymywała z nim stale bliższe stosunki. Wkrótce drab biciem zaczął zmuszać ją do uprawiania rozpusty. Ulokował ją najpierw w domu schadzek przy ulicy Śliskiej 14 i przychodził co wieczór do właścicielki dokonywać rozrachunków pieniężnych.

Gdy niewiasta wyszła w 1922 roku zamąż za rzemieślnika, ten wcale nie wiedział o jej przeszłości. Stanisława K. nie mogła wyrwać się z pod władzy kochanka i nadal zmuszana była przez niego do handlowania swemi wdziękami. Mąż nic o tem w daszym ciągu nie wiedział, że żona jest pensjonarjuszką lokalów publicznych przy ulicy Solnej 17 i Ogrodowej 6. Dopiero przypadkiem jeden z kolegów, będąc w jednym z tych lupanarów, spotkał tam mężatkę i doniósł o wszystkiem Władysławowi K.

Po rozmowie z żoną rzemieślnik dowiedział się, że ustawicznie była teroryzowana i bita przez kochanka. O swem pod wójnem życiu bała się mężowi wspomnieć, aby go nie utracić.

Za sprawą policji, Marcinkowski po wielu latach trudnienia się nikczemnym procederem osiadł w kryminale.

Niedbały doktór i przodownik policji

wplątani w sprawę skrytobójczego morderstwa

W procesie o skrytobójcze zamordowanie dzierżawcy majątku Kaplań pod Łomżą, oskarżyciel publiczny, prokurator Grabowski wygłosił wczoraj potężne przemówienie przeciwko przodownikowi policji, Lesiewiczowi oraz dr. Klaczkinowi, jako winnym powikłań w dochodzeniach, które zboczyły z prostej drogi.

Jak się dowiadujemy, sprawa przod. Lesiewicza i dr. Klaczkina o niedbalstwo służbowe jest przedmiotem osobnego śledztwa i płazem puszczona nie będzie.

Głównemi zarzutami co do przod. Lesiewicza jest stwierdzenie faktu, że umyślnie zwiódł prokuratora łomżyńskiego, przedstawiając mu sprawę śmierci Święckiego, jako samobójstwo przez powieszenie. Tym czasem przez palce patrzał na ekscesy zbirów, wynajętych do zgładzenia Święckiego, nie robił użytku ze skarg poszkodowanego, nie dawał mu należytej osłony i opieki przed napastnikami, a co najważniejsze, opiał z mordercami całą sprawę.

Jak widać z tego, zarzuty przeciwko Lesiewiczowi są bardzo poważne.

Jeśli chodzi o dr. Klaczkina to przeprowadził on w sposób niedbały oględziny zwłok, pobieżnie, nawet bez rozbierania trupa. Kazał zawinąć tylko rękawy i nogawki ubrania denata, nie rozpinając nawet kołnierzyka, przez co nie dojrzał licznych zadrapań na ciele i w tych warunkach wydał bardzo kategorycznie orzeczenie, że Święckiego nikt nie zamordował, a jedynie sam powiesił się na drzewie.

Mowa prokuratorska wywołała wielkie wrażenie w sądzie.

Biegli sądowi badają tajemnice Żyrardowa

W b. tygodniu specjalnie wydelegowani przez władze sądowo - śledcze biegli sądowi, rozpoczęli badanie ksiąg Zakładów Żyrardowskich, znajdujących się w biurze, przy ul. Traugutta 8.

Badania te mają na celu wyświetlenie zawiłych kwestyj kapitału zakładowego i funduszów rezerwowych Żyrardowa. Bada Sędzia śledczy J. Demant przesłuchał w sprawie gospodarki Żyrardowa członka sekwestru sądowego, inż. Średnickiego, który jeszcze w roku pełnił przez pewien czas funkcje nadzorcy przymusowego fabryki Żyrardowskiej. Obecnie inż. Średnicki kieruje stroną techniczną Zakładów.

Dużą sensację w kołach gospodarczych wywołał fakt zwolnienia długoletniego współpracownika Zakładów Żyrardowskich, b. senatora Stanisława Gaszyńskiego. B. sen. Gaszyński był generalnym reprezentantem Zakładów Żyrardowskich dla spraw dostaw państwowych i komunalnych. Do mianowania sekwestru sądowego otrzymywał on 1 procent z tytułu zamówień, jak i uposażenie w wysokości 1.500 złotych miesięcznie. Po wprowadzeniu sekwestru uposażenie zostało mu cofnięte, a prowizję zmniejszono do 3/4 proc. W dniu wczorajszym sekwestr sądowy wystosował do b. senatora Gaszyńskiego zawiadomienie o zwolnieniu go ze stanowiska generalnego agenta.

Sekwestr sądowy Zakładów Żyrardowskich opracował bilans za ostatni okres roczny do 1 października. Na okres ten przypada 6-o miesięczna praca sekwestru. Bilans wykazuje znamienną poprawę sytuacji. Obrót Zakładów Żyrardowskich wzrósł o półtora miljona złotych w porównaniu z okresami poprzedniemi, osiągając wysokość blisko 24.000.000 złotych. Liczba zamówień rządowych wzrosła do 17 proc. ogólnej cyfry sprzedaży. Aczkolwiek praca sekwestru przypadła na okres miesięcy letnich i wiosennych, stan zatrudnienia uległ wydatnej poprawie z 2.350 robotników zatrudnionych przy objęciu sekwestru do 3.200 w chwili obecnej.

Ksiądz rusiński znieważył oficerów

podczas nabożeństwa

W Sądzie Najwyższym rozpatrywany był sensacyjny proces księdza rusińskiego, Antoniego Onuferki ze Skałatu pod Tarnopolem, oskarżonego o znieważenie podczas nabożeństwa grupy oficerów.

Było to podczas mszy z okazji 15 - lecia Niepodległości. Delegacja wojskowa zajęła miejsca pośrodku nawy. Podczas podniesienia zabrzmiał dzwonek, po którym oficerowie uklękli i powstali, a tymczasem rozległ się drugi dzwonek. Tym razem oficerowie pochylili tylko głowy. Ksiądz Onuferko przerwał wówczas nabożeństwo i od ołtarza krzyknął ostrym głosem: „Proszu klękaty". Okrzyk ten powtórzył kilkakrotnie, a następnie wskazując na oficerów, zawołał:

— Kto nie umie się zachować w cerkwi, niech się wynosi!

Słowa te spowodowały wytoczenie przeciwko ks. Onuferce sprawy sądowej o znieważenie oficerów. Gdy proces wyznaczono w miejscowym sądzie, paroch rusiński wniósł sprzeciw o wyłączenie wszystkich sędziów ze Skałatu, jako pozostających w przyjacielskich stosunkach z tamtejszym garnizonem. Dowodził jeszcze, że sprawą interesuje się cały ogół ukraiński, powinna być więc rozpatrywana przez sąd tarnopolski.

Sąd sprawę jednak rozpatrzył i po przesłuchaniu świadków skazał ks. Onuferkę na 4 tygodnie bezwzględnego aresztu. Wyrok taki uległ zatwierdzeniu, ponieważ słowa księdza, wypowiedziane wobec otoczenia ukraińskiego, wyglądały na rodzaj pogróżek.

Sąd Najwyższy również odrzucił kasację parocha, wobec czego wyrok stał się prawomocnym.

Kara śmierci na sprawców mordu

GDYNIA PAT Sąd Okręgowy w Gdyni skazał na karę śmierci A. Wiśniewskiego, sprawcę mordu i grabieży z premedytacją na osobie J. Szprowiaka.

„W szpitalu będę zdrów..."

(S. F.) Mordka Damer, zasiadający na ławie oskarżonych w Sądzie Odwoławczym pod zarzutem kradzieży nie jest sobie takim zwykłym złodziejem.

Zwykły złodziej zakrada się pocichutku, stara się, żeby go nie widziano i zaraz po kradzieży ucieka.

Mordka Damer zachowuje się zupełnie inaczej. Wchodzi naprzykład do owocarni w biały dzień, ogląda towar, wybiera sobie parę tabliczek czekolady, dwie, trzy ładne pomarańcze i, nie spiesząc się, wychodzi. A gdy właściciel żąda pieniędzy i nie chce go wypuścić, wówczas Damer wybija szybę wystawową i oświadcza z zimną krwią.

— Nic mnie pan nie zrobisz. Ja jestem warjat!

Gdy zjawia się policjant i ciągnie go do komisarjatu, Damer perswaduje mu łagodnie:

— Zrozum pan! Ja jestem idjota, chory człowiek. Mnie w wojsku nie chcieli trzymać godziny. Odrazu dali kategorję „E". Pan wie co to jest „E"? To jest zupełny warjat. Nietylko karabin, ale nawet scyzoryk nie wolno go dać do ręki.

A gdy policjant pomimo to prowadzi go dalej, Damer uśmiecha się z politowaniem.

— Poco się pan fatyguje? Mnie nic nie zrobią. Jeszcze się będą cieszyć, że nie zrobiłem coś gorszego. Przecież warjat zabić też może!

Jakież jednak było zdumienie Mordki Damera, gdy w Sądzie Grodzkim potraktowano go jako zwykłego złodzieja i skazano na więzienie.

— Co to jest? — oburzył się — Warjata się skazuje? Dobrze! Zobaczymy co powiedzą doktorzy.

I zapowiedział apelację, żądając jednocześnie przez swego obrońcę zbadania przez lekarzy psychjatrów.

I oto w Sądzie Odwoławczym biegli lekarze stwierdzili, że rzeczywiście Mordka Damer nie jest normalny i nawet jest dla otoczenia niebezpieczny.

Mordka Damer uśmiechnął się triumfalnie i mrugnął na wezwanego w charakterze świadka policjanta.

— Widzisz pan, że jestem warjat! Nie mówiłem?

Ale po odczytaniu wyroku uśmiech znikł z jego twarzy. Sąd, opierając się na opinji lekarzy, wyrok poprzedni uchylił i postanowił Mordkę Damera umieścić w szpitalu dla umysłowo chorych.

Damer przerażony zerwał się z ławki i złapał swego obrońcę za rękaw.

— Panie mecenasie! Co pan narobił? Ja już wolę iść do więzienia. Posiedzę parę miesięcy i mnie puszczą. A w szpitalu to trzymają i trzymają i wcale nie chcą puścić.

Obrońca machnął tylko ręką i wyszedł.

— Warjat ja mogę być na wolności — krzyknął jeszcze Mordka Damer. — Ale w szpitalu, ja będę zdrów, jak koń! Zobaczysz pan.

„Dziewczyna do wszystkiego"

Kompromitujący proces dygnitarza miejskiego

20-letnia dziewczyna, Zofja R. będąc obecnie pracownicą domową u jednego z wielkich dygnitarzy miejskich w Warszawie, przeżyła smutną historję.

Służyła przedtem u pana Wł., człowieka w podeszłym wieku. Widocznie pryncypał dosłownie traktował warunek umowy, że „godzi się do wszystkiego", bo uczynił z niej swą nałożnicę. Kiedy jednak dziewczyna znalazła się w odmiennym stanie i wygląd jej zdradzał skutki flirtu, oddalił ją, nic troszcząc się wcale, co biedactwo pocznie.

Dzięki wspaniałomyślności ludzi dobrej woli, Zofja R. dostała się do kliniki i tam odbyła poród Ale to nie rozwiązywało kwestji, co począć z niemowlęciem. a przecież wnie. dziecko niešlubnej matce zrale... zienie posady. Poszła więc po de drzwi swego dawnego pryncypała i kochanka, pozostawiając mu dziecko.

Wesoły Kącik

TURNIEJ ZAPAŚNICZY



— Brał mnie na podkładkę do turnieju. Kazał mi się kłaść.

Temi słowy skarżył się przed paroma dniami atleci mistrzowie świata i poszczególnych krain, na procesie sądowym dwóch znanych atletów.

Proces ten, który odsłonił nieco kulisy walk francuskich, przypominał mi pewne zdarzenie w prowincjonalnem mieście, o którem opowiadał mi naoczny świadek.

Do miasta tego zjechał zespół zapaśników celem rozegrania turnieju walk francuskich. Organizatorem turnieju i kierownikiem był niejaki pan Zaliwa, były atleta, człowiek lubiący często zaglądać do kieliszka.

W pierwszym dniu walk, już przed obiadem wszystkie bilety były wyprzedane i o 8-ej wieczorem sala wypełniła się po brzegi. Orkiestra zagrała marsza, potem drugi raz, potem trzeci... ale walk nie zaczynano.

Zdenerwowani zapaśnicy biegali na miasto, ale walk nie zaczynali.

Mijały kwadranse, publiczność wyła, gwizdała i gdy wreszcie galerja zagroziła, że zdemoluje lokal, dwóch atletów wyszło na arenę.

I rozpoczęła się walka.

Zapaśnicy brali się za bary, robili mosty, krawaty, klucze i bez przerwy spoglądali niespokojnie w stronę drzwi, prowadzących za kulisy.

Po godzinie publiczność straciła cierpliwość.

— Dosyć. Dosyć! — wyła galerja — Kładź się który!

Ale żaden z zapaśników się nie kładł. Minęła druga godzina, większość publiczności opuściła salę, a oni walczyli dalej, ledwo trzymając się na nogach.

Dopiero po trzech godzinach, kiedy ostatni widz opuścił salę, zwalili się jednocześnie na ziemię, nieprzytomni ze zmęczenia.

— Mordę mu zbijemy — odgrażali się atleci.

Nikt nie rozumiał, co się stało. Dopiero, gdy nazajutrz pobitego przez zapaśników kierownika turnieju odwieziono do szpitala, sprawa się wyjaśniła.

— Otóż kierownik, pan Zaliwa, z radości że wszystkie bilety sprzedano, upił się i nie można go było znaleźć.

A biedni zapaśnicy nie wiedzieli co robić. Czekali, szukali, zwlekali... Kierownik bowiem zapomniał im powiedzieć rzecz najważniejszą.

Kto z nich ma dzisiaj leżeć!!! I jak w takich warunkach walczyć?

— Hiszpan już siły nie miał. — opowiadał o tym wypadku Rozbimorda — Koniecznie chciał się kłaść. A ja nie dałem. Trzymałem go! Niema głupich! On się położy, a potem mnie Za liwa z gaży straci. Że mu program psuje.

Napoleon Sądek.

MIŁOŚĆ ANUSI

Wzruszające dzieje pięknego dziewczęcia

STRESZCZENIE.

W wielkim magnackim zamku ks. Tomirskich odbywały się przygotowania do wielkiej uczty na cześć licznych gości. Gdy przygotowania już były na ukończeniu ks. Tomirski postanowił porozmawiać ze swoją córką czarująco-uroczą księżniczką Elżunią.

Oświadczył jej wręcz, że brną w długach tak głęboko, że uratować ich materjalnie może jeszcze tylko bogate małżeństwo Elżuni.

Jednocześnie wymienił jej nawet swego kandydata. Był to Bolesław Chomowicz, młody, bogaty i nawet przystojny przemysłowiec, ale pochodzący z wieśniaków.

Był to dla Elżuni wielki cios. Jużby wolała sąsiada, podtatusiałego, coprawda, ale jednak hrabiego Michała Oremskiego. W głębi duszy zaś marzyła o Olgierdzie hr. Raczyckim, swym dalekim krewnym, niestety, też zrujnowanym. Był bowiem jej pierwszą miłością.

Przed daniem ojcu ostatecznej odpowiedzi postanowiła się z nim zobaczyć. Ułatwiła jej to służąca i powiernica Zośka. Wywabiła z leśniczówki córkę leśniczego Anusię (narzeczoną Jasia Bończala). Tam spotkała się Elżunia z Olgierdem.

Gdy ten dowiedział się, że Tomirscy są zrujnowani, nie kwapił się z propozycjami małżeńskiemi. Elżunia była tem oburzona do głębi. Olgierd postanowił skorzystać z jej miłości ku niemu aby ją posiąść.

Wtem usłyszeli jakiś szelest. Elżunia zerwała się i uciekła.

Olgierd bez pośpiechu wyszedł za nią, widząc, że ku leśniczówce skrada się jakiś mężczyzna, którego wziął za kochanka Anusi.

Tymczasem Anusia, jak gdyby nigdy nic, wracała do domu. Już była u progu gdy nagle z mroku wyłonił się jej narzeczony Jaś Bończal i brutalnie wciągnął ją do chaty.

Zasypał ją ostremi pytaniami, opanowany szałem zazdrości.

Anusia odpowiadała na to pogardliwem milczeniem. Doprowadzało to Jasia do szału. Rozwścieczony krzyknął, że zrywa z nią i uciekł. Anusia doprowadziła dom do porządku i znalazła na łóżku bransoletkę Elżuni złamaną i poplamioną krwią...

Ponieważ atmosfera w leśniczówce wobec nieprzejednanego stanowiska Biedrzycha stała się nie do zniesienia, Anusia postanowiła pojechać do Warszawy i tam szukać pracy. List polecający dał jej Michał hrabia Oremski oddawna już zabiegający o jej względy.

W pociągu poznała Anusia swoich współpasażerów, pochodzących z jej stron.

Anusia w Warszawie szybko dostała pracę w kwiaciarni.

Hrabia Oremski czekał cierpliwie trzy lata, poczem postanowił domagać się od Anusi „wdzięczności". Zażądał mianowicie, aby została jego kochanką, za co przyrzekł zasypać ją bogactwami.

Anusia wykręciła się odpowiedzią wymijającą.

Jej znajomy z podróży — garbus Olek, zwany „Niedorostkiem" napisał pokryjomu list do Jasia Bończala, wzywając go do pogodzenia się z Anusią.

Tymczasem nadeszła wieść o śmierci Jasia Bończala. Anusia była tem wstrząśnięta do głębi. Elżunia przyszła, aby ją pocieszyć, a zarazem zwierzyła się z udręk, jakie sama przeżywa. Ryśka, kochanka Olgierda, wykradła mu listy Elżuni, pisane do niego i chce je wydać Chomowiczowi. Żąda za dyskrecję 200.000 zł. Skąd wziąć tyle pieniędzy?

Elżunia poprosiła Olgierda, ab zażądał od Ryśki zwrotu listów. Uczynił to. Ryśka pozornie się zgodziła, listy oddała, ale z wyjątkiem dwóch które posłała Chomowiczowi, który po otrzymaniu ich był wstrząśnięty do głębi.

Niewiadomo było, z jakich czasów listy pochodzą. Może były pisane przed laty, a może przed tygodniami...

W każdym razie były pełne płomiennych zapewnień, przysiąg o dozgonnej wierności, palącym żarze miłości. Nawet największy niedowiarek nie mógł już teraz mieć wątpliwości, co łączyło Elżunię z Olgierdem.

Pisała mu naprzykład:

„Od owej nocy upojeń i... rozpaczy... powinnam cię nienawidzieć, a kocham..."

Albo:

„Pamiętaj o tem, co mi przyrzekłeś. Tyś mojem jedynem marzeniem, dawniejszem, dzisiejszem i przyszłem".

A potem moc zaklęć, że całe życie kochać będzie zawsze tylko jego jednego i nikogo innego. Nawet przysięgała życie oddać za niego, gdyby trzeba było...

Po przeczytaniu tego listu Chomowicz nie był wcale bardziej wzburzony. Przeciwnie — spokojniejszy.

Bo już teraz rzecz była jasna. Wszelkie wątpliwości pierzchnęły...

Wiedział, że już nie ma czego się spodziewać, widział gmach swego szczęścia, tak starannie budowany i usilnie podtrzymywany — w gruzach. Postanowił ratować siebie już tylko, aby jeszcze jakiś odłamek go nie zranił...

Chomowicz raz jeszcze spojrzał w lustro, wygładził włosy, otarł pot z czoła, napisał parę słów na kartce i rzekł wchodzącemu dozorcy, żeby ją zaraz odniósł do pana Szawińskiego.

Dozorca wziął kartkę i odszedł, po drodze drapiąc się w głowę i mówiąc sam do siebie:

— O, tu się święci coś niedobrego.

Chomowicz wybiegł na ulicę, wskoczył do taksówki i kazał jechać pełnym gazem na Żoliborz. Zatrzymał ją przed jednym z domków kolonji oficerskiej i wpadł, jak bomba, do mieszkania pułkownika Brackiego, swojego dowódcy z wojska i serdecznego przyjaciela.

— Jak się miewasz, Bolku? — zapytał pułkownik, nieco zdziwiony nieoczekiwaną ranną wizytą Chomowicza.

— Źle, pułkowniku, bardzo źle — odparł Chomowicz.

— Czyżby?

— Błagam pułkownika, proszę zejść ze mną teraz zaraz... taksówka czeka...

— Ależ o co chodzi?

— Powiem pułkownikowi w taksówce. Błagam! Każda sekunda grozi katastrofą.

Pułkownik dość niechętnie, ale szybko, ubrał się, nie chcąc odmówić Chomowiczowi, bo przypuszczał, że musiało to być rzeczywiście coś wielce gwałtownego.

Gdy wreszcie taksówka już znów pędziła w stronę miasta, a Chomowicz wciąż jeszcze milczał, pułkownik zapytał go ponownie:

— Dokąd właściwie jedziemy?

— Zaraz się pan przekona, pułkowniku. Jestem w strasznej sytuacji. Pan i Szawiński jesteście moimi jedynymi prawdziwymi przyjaciółmi i powiernikami. Nie chciałem wszakże teraz fatygować Szawińskiego, bo ma i tak teraz całe biuro na karku. Chciałbym, żeby pułkownik zgodził się łaskawie być obecnym i pomocnym przy pewnem mojem przedsięwzięciu.

— Bardzo chętnie, ale dlaczego taki gwałt i takie zamieszanie? O co chodzi?

— Chodzi właściwie tylko o to, żebym miał świadka... może... sekundanta...

— Co? Pojedynek?

— Nie wiem jeszcze, ale pewnie się bez tego nie obejdzie.

— Pocóż ci więc już świadek?

—Dla stwierdzenia pewnego faktu.

— Tłumaczże się wreszcie wyraźniej!...

— Za chwilę będzie pan wiedział wszystko, pułkowniku...

Taksówka zatrzymała się przed domem, w którym mieszkał hrabia Olgierd.

— Tu zdaje się mieszka twój powinowaty hrabia Raczycki? — zapytał pułkownik.

— Tak jest, panie pułkowniku. Idziemy właśnie do niego.

Gdy weszli do mieszkania Olgierda, Chomowicz zapytał, czy zastał hrabiego Raczyckiego.

Lokaj odparł, że zajrzy i dowie się.

Nie zdążył wszakże jeszcze ruszyć kroku naprzód, gdy Chomowicz ztyłu złapał go za kark, posadził na krzesło i szepnął:

— Ani słowa, bo strzelę.

Sam zaś pobiegł dalej...

21. NA GORĄCYM UCZYNKU.

Dla Elżuni miniona noc była niemniej przykra, niż dla Bolesława. Zazwyczaj zmory senne pierzchają wraz z pierwszym błyskiem słońca. Nie opuszczały wszakże Elżuni.

Wiedziała, że nadchodzący dzień zadecyduje o losie jej życia.

Wyczuwała to najwyraźniej...

Domy bogaczów wczesnym rankiem pogrążone są w głębokiej ciszy. To też w cichej samotności Elżunia bezmyślnie wpijała błękit swych oczu w desenie malowideł na suficie. Skołatana głowa tonęła w puchu poduszek. Uszy natężały słuch, usiłując złowić choćby najlżejszy szelest, świadczący o nadchodzącym dniu...

Mózg świdrowała nieubłagana myśl: jak uniknąć niebezpieczeństwa... jak je zażegnać?

Nie było ceny, jakiejby zato nie zapłaciła. Gotowa była na największe poświęcenie i upokorzenia, aby tylko jakoś wyjść z tego wszystkiego obronną ręką.

Chwilami migotał jej błysk nadziei...

Czyżby doprawdy tak trudno było znaleźć wyjście?

Po odwiedzinach u tego budzącego odrazę lichwiarza została jej przynajmniej jedna niezła rada.

Elżunia, jak wszyscy ludzie, którzy sami nigdy nie zarabiali pieniędzy, nie znała zupełnie ich wartości. Obce jej też były rozmaite sposoby zdobywania ich. A teraz lichwiarz podsepnął jej dobry sposób— zastawienia lub spieniężenia klejnotów.

Bolesław nie przepuszczał żadnej okazji, aby nie zasypywać żony biżuterją.

Nie mówiąc już o prezentach ślubnych, dostała potem jeszcze mnóstwo innych.

W pierwszej chwili odrzuciła tę myśl z oburzeniem, ale teraz doszła do wniosku, że to możeby i był wcale niezły sposób. Możnaby zastawić część klejnotów... Bolesław nie odrazuby się spostrzegł, a przez ten czas mogłaby je jakoś wykupić...

Czyż wszystko nie było warte, aby uniknąć niebezpieczeństwa i przykrości, gdyby mąż ujrzał jej listy do Olgierda i sfałszowany przez Romana swój podpis na wekslu?

Z listami niby sprawa nie stała źle. Olgierd święcie przyrzekł je dostarczyć. Weksle Szymczyka się wykupi... za klejnoty... Całe szczęście, doprawdy, że Bolesław wyjechał na te dwa dni...

Zwykle w chwilach groźnego niebezpieczeństwa tak bywa, że człowiek przerzuca się szybko od rozpaczy do nadziei.

To też w ostatniej chwili Elżunia odnalazła w sobie nowe siły dla obrony.

Aby tylko te dwie sprawy załatwić!

A co dalej? Kto wie, może już w przyszłości nic podobnego więcej się nie powtórzy i będzie wreszcie spokój...

O ósmej wstała, ubrała się bardzo skromnie, aby nie zwracać na siebie najmniejszej uwagi, pocałowała synka, aby dodać sobie otuchy i... otworzyła swój skarbczyk z klejnotami.

Były tam doprawdy nieprzebrane skarby.

Bolesław zdobił swe bóstwo najwyszukańszą biżuterją.

Czegóż tu nie było? Bransoletki, pierścionki, naszyjniki, perły, brylanty, różnobarwne drogocenne kamienie...

Wzięła garść tych klejnotów i schowała do torebki.

Cóż właściwie ryzykowała?

Zawsze znajdzie jakiś wykręt, gdyby nawet mąż dostrzegł jakieś braki.

Zresztą, wkrótce już wyjadą na wieś, więc i tak klejnoty będą niepotrzebne.

Wyszła z domu, wzięła taksówkę i po wpół do dziesiątej przybyła do Szymczyka.

— Cóż, piękna pani — powitał ją Szymczyk — namyśliliśmy się?...

— Tak...

— Płacimy?

— Nietyle płacę, ile przynoszę panu zastaw...

— Zobaczymy, zobaczymy... przyjrzymy się temu zastawowi.

Elżunia wyjęła z torebki garść przywiezionych klejnotów. Gdy wykładała je na biurku lichwiarza, aż mu oczy błysnęły łapczywie.

Po chwili wszakże wrócił do swego ironicznego i pogardliwego tonu.

Zapytał:

— To już wszystko, co pani posiada? — i wzruszył ramionami.

— Myślałam... zdawało mi się... — bąknęła Elżunia.

— ...że to starczy na trzydzieści tysięcy złotych?

— Ręczę panu, że to warte trzy razy tyle...

— Nie przeczę — rzucił Szymczyk od niechcenia.

Przyglądał się bacznie bransoletkom, pierścionkom i broszkom, poczem rzekł:

— Owszem, robota niezła, ale przy sprzedaży mogę nie uzyskać wartości pełnej.

Elżunia, przerażona wybełkotała:

— Ależ ja nie chcę tych rzeczy panu sprzedać... Chciałam tylko dać je panu w zastaw... a gdy będę miała pieniądze i zapłacę panu, odebrać je spowrotem...

— Ha, czemuż więc nie poszła pani z tem do lombardu miejskiego?

Elżunia spojrzała na lichwiarza z nieukrywanym lękiem.

On zaś mówił chytrze:

— Choć, coprawda, oni tam dają bardzo mało pieniędzy za klejnoty... Nie wiem, czy daliby pani za całość... dziesięć tysięcy... Mój znajomy, z którym panią skomunikować, da pani więcej.

— Wię proszę...

— Ale i to trzeba conajmniej drugie tyle na trzydzieści tysięcy. Ma pani jeszcze więcej klejnotów?

— Owszem, ale nie ze sobą.

— Więc niech je pani łaskawie przyniesie. Dam pani ostatecznie czas do pierwszej... starczy pani?

—A gdybym do pierwszej... nie zdołała?... — zapytała Elżunia, ciężko dysząc.

— Weksle zostaną oddane panu Chomowiczowi. Trudno. Ja nie handluję biżuterją.

Mówię pani, że mój znajomy to pani załatwi.

— Dobrze... zobaczę... — wybełkotała Elżunia, cała drżąca.

Szymczyk bawił się Elżunią, jak kot myszą.

Aż znieruchomiała z trwogi, gdy wtem nagle przypomniała sobie, że przecież już czas być u Olgierda.

Pożegnała się więc, pytając raz jeszcze:

— A więc... do pierwszej?

— Tak i robię to tylko dla pani. Bo naogół z nikim w takie układy nie wchodzę. Weksel trzeba płacić. Bez gadania.

Elżunia powtarzała bezmyślnie:

— Dobrze... zobaczę...

I wyszła, zapominając nawet zabrać ze sobą przyniesione klejnoty, które leżały na biurku Szymczyka. Zawołał ją, aby je zabrała...

Zarumieniona, wstydliwie chowała je do torebki, on zaś zgderał:

— Widzi pani, że jestem uczciwym człowiekiem... ale i słownym. Dziś o pierwszej ostatni termin. Ani chwili dłużej...

Elżunia wskoczyła do najbliższej taksówki i po chwili zajechała przed dom, w którym mieszkał Olgierd. Serce jej waliło, jak młotem. Na jakież to już weszła manowce!... Kiedyż te upokorzenia się wreszcie skończą... i co najważniejsza — jak???

Dalszy ciąg nastąpi.

POŻERACZ SERC KOBIECYCH

Powieść-reportaż z tajników potwornej afery w świecie arystokracji

STRESZCZENIE.

Sprytny aferzysta, Montemort, postanowił wyzyskać jedyną dziedzinę, nie dotkniętą przez kryzys: miłość. Z pomocą swego agenta, urodziwego Stefana Noderskiego, uwikłał w swe sieci dwie kobiety—matkę i córkę: Melę i Lilę Kunic-Lamockie.

Noderski uwiódł obie i wreszcie wymusił na matce, by zgodziła się na jego małżeństwo z Lilą. Nieszczęśliwa kobieta, znajdująca się w szponach aferzysty, który wyłudził od niej grube sumy, a przytem rozkochana w nim, uległa.

Będąc narzeczonym Lili, Noderski zalecał się jednocześnie do skromnej ekspedjeutki ze sklepu z konfekcją męską na Marszałkowskiej, Teci Zierskiej. Dziewczyna zrobiła na nim wielkie wrażenie i postanowił uczynić ją swą kochanką. Po długich zabiegach udało mu się obudzić w sercu dziewczyny uczucie, zerwać nawet z jej ust pocałunek.

Ślubu swego z Lilą Kunic Lamocką nie mógł ukryć przed Tecią, ale wytłumaczył to tem, że jest zmuszony się ożenić, gdyż inaczej dziewczyna targnie się na swe życie.

W tym samym czasie Noderski na polecenie Montemorta zaprosił do swego dawnego kawalerskiego mieszkania, dawnego agenta Biura Miłości, Wymirskiego, który dyrektorowi groził szantażem. Ów Wymirski zadrasnął się zatrutym sztyletem i zmarł, a ciało jego Noderski spalił chemicznie. Świadkiem tego była przypadkowo pani Mela Kunic-Lamocka, co spowodowało w niej wstrząs nerwowy, graniczący z pomieszaniem zmysłów.

Nikt nie miał podejrzeń, że Noderski może być zamieszany w sprawę tajemniczego zniknięcia Wymirskiego, z wyjątkiem Zygmunta Przybosza, byłego narzeczonego Lili. Nie mogąc dowieść jego winy wyzwał Noderskiego na pojedynek, w którym ciężko postrzelił swego rywala.

Przed pojedynkiem Noderski skłonił matkę Teci, by w razie jego śmierci, przyjęła pewną sumę pieniędzy i wyjechała leczyć chorą Tecię. Pani Zgiercka dowiedziawszy się o ciężkiej ranie Noderskiego, skłamała przed córką, że został on zabity w pojedynku, pragnęła bowiem przerwać nić miłości, którą uważała za niebezpieczną i grzeszną. Wyjechały więc obie, nie zostawiwszy adresu.

Będący już na wyzdrowieniu Noderski przebywał z żoną w majątku Olszynku, gdzie z racji wyzdrowienia męża, Lila urządziła przyjęcie. Montemort w zręcznej rozmowie z panną Danką Zuberską zdołał ją sprowokować do zainteresowania się Noderskim, mając w tem swoje plany.

SAM NA SAM W LEŚNICZÓWCE.

Przy śniadaniu Danka Zuberska zajęła miejsce przy Noderskim. Po drugiej jego stronie siadła „niegroźna" rywalka: wysportowana, ale jakoś nie mogąca schudnąć baronówna Stotte. Odrazu jednak Danka spostrzegła, że Noderski okazuje więcej zainteresowania dla swej sąsiadki z prawej strony. Rozgniewało ją to.

— Cóż on sobie myśli? Miałabym dostać kosza, ja?

— Panie hrabio — zwróciła się do Noderskiego, — czy pan zauważył, że siedzę koło pana?

— O, sprawia mi to wielki zaszczyt!... Jest pani przecież jedną z najmilszych naszych znajomych, przyjaciółką mojej żony...

— A zatem i pańską — szepnęła. — W dowód przyjaźni proszę mi nalać wina, bo mam pragnienie i nie chcę czekać aż służący to zrobi.

Noderski spełnił polecenie.

— To jeszcze mało!.. Po śniadaniu zażądam jeszcze jednego dowodu przyjaźni!

— Wszystko spełnię, co pani rozkaże — odpowiedział, ale w słowach jego wyczuła zdawkowość.

Danka Zuberska umiała jednak podtrzymać rozmowę. Zawojowała wkrótce uwagę Noderskiego swoją osobą tak całkowicie, że ledwo miał czas powiedzieć parę słów swej drugiej sąsiadce, wracającej niezmużenie do spraw automobilowych, tennisowych i golfowych, które znów nie interesowały nic Noderskiego.

Atmosfera przy śniadaniu w miarę wypitego wina podnosiła się coraz bardziej. Coraz częściej rozlegał się cieniutki śmiech Lili, zabawianej z werwą przez dwóch młodych ludzi, rozhuczała się nawet grubym śmiechem baronówna Stotte, rozbawiona dykteryjkami sportowemi Montemorta. Zrazu pochmurny książe Drewiczyn coraz częściej poprawiał monokl, biorąc udział w ogólnej rozmowie, którą świetnie podtrzymywał stary Zuberski, sypiący grubemi kawałami bez żadnej żenady.

Po śniadaniu Danka Zuberska wzięła pod rękę Noderskiego.

— Ja dziś roztaczam opiekę nad naszym przemiłym rekonwalescentem — powiedziała. — Lila musi bawić gości. Czy pan czuje się na tyle silny, by mi towarzyszyć w małej przechadzce? Chcę odetchnąć trochę świeżem powietrzem.

Młodzież poszła w ich ślady. Grupkami znaleźli się w parku, napełniając go śmiechem i gwarem.

— Czy przypomina pan sobie, że miałam zażądać jeszcze jednego dowodu przyjaźni? — zapytała Danka Noderskiego, prowadząc go do gęstej alei świerkowej, zamkniętej w głębi przez ścianę wysokopiennych sosen.

— Jestem do usług.

— Panie Stefanie! Cóż to za oficjalny ton w rozmowie z przyjaciółką?... Chcę pana rozweselić! Pan jest taki pochmurny teraz!

— Ależ nie! Raduję się miłem towarzystwem. Może źle okazuję swoją radość, gdyż jestem jeszcze nieco osłabiony.

Roześmiała się niespodziewanie. Noderski spojrzał na nią zdziwiony.

— Biedna Lila! Taka młoda żona, a mąż... osłabiony! Całe szczęście, że Lila nie jest jaką nienasyconą wampirzycą, jak naprzykład ja!

Noderski spojrzał z pod czoła na śmiejącą się dziewczynę, jej zmysłowe wargi, błyszczące oczy i drgnął, kiedy trzymając go pod rękę, silnym ruchem przycisnęła jego dłoń do swego boku.

— Gdybym była na miejscu Lili, nie prędkoby pan przyszedł do zdrowia!

— A możeby właśnie stało się odwrotnie: udzieliłaby mi pani swych sił żywotnych!

— O, chętnie!... Panu — zawsze!

Noderski przygryzł wargi.

— Poluje na mnie! — pomyślał. — Jakby była agentem Montemorta, a ja upatrzoną przez niego ofiarą. Nic z tego nie będzie, moja panno!...

— Czemuż pan milczy? — zajrzała mu w oczy, przechylając wdzięcznie główkę.

— Jestem urzeczony słowami pani.

— Słowa są zbyt słabe, by wywołać silny urok. Chyba nietylko mowa moja może się podobać! Proszę, a figura!

Rozsunęła niezapięte futro, prężąc się w obcisłej sukience.

Noderski pochylił głowę.

— Jest bardziej czarująca, niż słowa!

— Czy pan nie widzi, że pan mi się podoba? — zapytała nagle, podniecona jego biernością.

Milczała chwilę, patrząc mu w oczy.

— I pan nic na to?

Patrzyli sobie w oczy, jak dwaj zapaśnicy przed decydującą walką. Trwali tak nieruchomo kilka sekund. Panna Zuberska odwróciła się nagle i idąc dalej aleją, powiedziała:

— Podobno macie tu jakąś przepiękną, filigranową leśniczówkę. Proszę mi ją pokazać!

— Co to wszystko znaczy? — zadawał sobie w myśli pytanie Noderski. — Czyżby Montemort nauczył ją, jak ona ma mnie uwieść?...

— Owszem — odpowiedział, — jest tu jakaś leśniczówka, ale w niej nigdy nie byłem.

— To będzie pan poraz pierwszy i to ze mną.

Szła żywym nerwowym krokiem.

Noderski postępował za nią, coraz bardziej zły na siebie, na Montemorta, na tę młodą dziewczynę, grającą rolę „wampirzycy", szukając sposobu, by przerwać tę grę. Nie był zdolny powiedzieć poprostu:

— Nie mam zamiaru być uwiedziony i wracajmy do domu, do towarzystwa.

Nie, Noderski nie odmówił nigdy żadnej kobiecie, jeśli tylko nie była brzydka i stara. Pozwalał się „uwodzić". I teraz szedł posłusznie, choć czuł, że kiedy się znajdą w leśniczówce, w której był z Montemortem, sam na sam skończy się porażką jego woli i niechęci. Wplącze się znów w podłą intrygę, tak misternie wbrew jego chęciom przygotowaną przez Montemorta.

Minęli wreszcie aleję i weszli w las. Ledwie wydeptana ścieżka prowadziła wprost do celu.

— O tej porze kręci się tu dużo ludzi — powiedział Noderski.

Roześmiała się.

— Ach, obawia się pan o swoją opinję?! To paradne! Obejrzenie leśniczówki nie jest chyba kompromitujące dla właściciela?

— Wolałbym ją obejrzeć z panią w lepszych warunkach — łagodził swój upór. — Kiedy się ściemnia, leśniczówka staje się w swym wyglądzie taka romantyczna...

— Pociemku nie będę nic widziała.

Zatrzymała się nagle i wskazując rozchodzące się w dwie strony ścieżki, spytała:

— Tą iść, czy tą?

— Nie byłem tu nigdy i nie wiem.

— Wobec tego idziemy na lewo! zdecydowała.

— Pewnie tu już kiedyś była — pomyślał.

Nie mylił się. Zuberscy niejednokrotnie przyjeżdżali do Olszynka do Lamockich i Danka znała okolicę doskonale. Znała i leśniczówkę, mały drewniany domek, składający się zaledwie z dwóch izdebek, prawie nieumeblowanych, gdyż umeblowanie zastępowały porozkładane i porozwieszane skóry, a ściany były ozdobione rogami jeleni i łosi.

Idąc teraz myślała tylko o tem, czy zdoła, jak dawniej, otworzyć okiennicę i okno, gdyż tą drogą zawsze przedostawała się do wnętrza.

Wreszcie przez szczeliny w firankach gałęzi świerkowych dojrzała znane szare ściany z linjami mchu, wyściełającego szpary między grubemi balami.

Odwróciła się do Noderskiego:

— Niechże wobec tego ja mam zaszczyt pokazać gospodarzowi jego leśniczówkę, którą znam doskonale, bośmy tu nieraz przesiadywały z Lilą. Ja prowadzę!

Podeszła do zamkniętego na okiennicę okna i podjętym z ziemi patykiem bez trudu odsunęła zasuwę, poczem w podobny sposób otworzyła okno.

— Wybaczy pan hrabia, że takie nieszczególne wejście, ale okno jest tak niskie, że nawet ja z łatwością wchodzę tędy!

Przerzuciła nogę przez parapet, bez skrępowania unosząc sukienkę wysoko nad kolana.

— Proszę za mną! — wołała.

Zachowanie się Danki wzburzyło w nim nieco krew. Bez wahania przedostał się przez okno do wnętrza leśniczówki.

Kiedy się wyprostował, stanęła blisko niego tak, że prawie opierała się o niego i mrużąc oczy, powiedziała:

— Jesteśmy sami...

Dalszy ciąg jutro

Ludzie nowi

Radjo stanowi taką samą granicę epoki jak kamień, bronz, żelazo, a nawet — odkrycie ognia.

Jak człowiek z epoki kamiennej nie poznałby swych dalekich potomków, tak człowiek z przedradjowego okresu zdumiałby się głęboko nad stopniem rozwoju swego prawnuka. I tak, jak bezmiernie samotnym był człowiek w mroku jaskiniowym bez światła — tak samo odgradzała go jak gdyby warstwa izolacyjna — niewiedzy — od świata.

Rzeczy te jednak widzi się wstecz — nigdy naprzód. Człowiek uzbrojony w łuczywo mniemał się pogrążony w powodzi jasności. Człowiek dysponujący kartką pocztową lub konnym posłańcem uważał się za połączonego najdoskonalej ze światem, zdobywszy zaś możność przesłania depeszy truchlał z podziwu dla własnej wszechmocy.

Dziś dopiero stwierdzić możemy ich gołębią naiwność.

Śmiało można powiedzieć, że radjo pozyskało światu (już nawet nie państwu) nowych obywateli — nowych konsumentów wiedzy, kultury i sztuki. Motoryzacja tej fizycznej i moralnej produkcji zyskała na sile — zdolność odbiorcza również rozrosła się w nieskończoność. Jednakże poszczególne gałęzie produkcji, przez wielkie uniwersalne „P" skłonne są w krótkowieczności swojej, sobie przypisywać zasługę, gdy tymczasem bez radja długo i w samotności musiałyby wołać na puszczy. Odpowiedziały by im głosy nieliczne, napotykane w niezlaudnionych odbiorcami — przestrzeniach.

Czy imię „Bajan" zdołałyby z taką siłą rozkrzyczeć inne środki przesyłania wiadomości? Czy czasopismo rolnicze zdoła wmusić w rzesze niepewnych odbiorców dostateczną ilość superfosfatu? Czy recenzja o książce i ona sama mogą tak głośno powiedzieć „jesteśmy" jak wtedy, kiedy je w tem radjo wyręczy?

Radjo czyni to wszystko, miarkując jedynie i przyprawiając dawki wyższych wartości do pojemności naukowej i artystycznej nowych słuchaczy. Swoim „homo novus" daje tylko rzeczy sprawdzone i dobre — a żaden wynalazek (jakże ta brzmi sucho i wąsko) nie może się poszczycić tak licznemi szeregami nowych wybrańców. Nie mówimy tu oczywiście o typie zblazowanego słuchacza, czerpiącego pełną garścią z pism, książek, źródeł sztuki, ocierającego się o tłumy adeptów przeróżnych produkcyj. choć i ten wyżyć bez radja nie może. Ale ci wszyscy rozsiani po świecie i pozapadani w kąty, dla których słuchawka i głośnik stały się nietylko „eksperymentem" technicznym, ale wręcz objawieniem świata, który spowiła dotychczas gęsta i ciemna mgła. Ci wezmą od radja wszystko pochło na radjową pożywkę bez zmarnowania jednej najlichszej okruszyny. Kto wie, czy nie od chwili pierwszego zetknięcia z radjem zaczęło się ich — życie, będące dotychczas monotonnem deptaniem w kole codziennych czynności. Radjo daje możność wyodrębnienia własnego dźwięku, jaki wydajemy w symfonji świata. Pozwala nam określić siebie — samookreślić się w społeczeństwie jak przy pomocy busoli i kompasu. Jesteśmy niżej czy wyżej, tworzymy średnią przeciętną czy też nie dorastamy do elementarnego poziomu? Jakiej wielkości gwiazdę stworzymy w konstelacji świata? Czego dokonaliśmy, a co jeszcze leży przed nami?

Radjo rzuca przed nami jak na ekran aktualny dorobek ludzkości we wszystkich dziedzinach. Cóż za szerokie pole dla porównań otworzyło się nagle. A zarazem jakie wyżycie się w wszechświatowych emocjach. Czujący sam, czuje pociemku i w niepewności ile wart jest ten jego indywidualny entuzjazm. Czujący razem pomnażamy odruch serca i zwielokratniamy go jakby otaczał nas tłum współwyznawców. Jeden dźwięk przybiera natychmiastowo siłę i różnobarwność brzmienia orkiestry.

To przyrastanie — za sprawą radja—jednostki do masy, jest niesłychanie ważne w czasach gdzie samotnemu bardzo trudno żyć. „Ludzie nowi" zaś, nowi w najlepszym sensie dźwignięcie na wyższy stopień — znajdują w radju tę opiekę i pomoc, których dać im nie może środowisko z którego wyrośli. Radjo przyłącza jednostkę do zespołu następnej i zawsze wyższej klasy, czyniąc z niej przewodnika dotychczasowej. Daje się też w niem zauważyć coraz bliższe wręcz osobiste zetknięcie z każdym człowiekiem — czułym odbiornikiem duchowym.

I człowiek nowy — przywiązuje się do niego tak, jak dawniej przywiązywał się do poszczególnego opiekuna, dobroczyńcy i mecenasa tylko bez ambicyjnych urazów i poczucia ciężkiego długu wdzięczności. To powiększenie „klienteli" nietylko radja ale spopularyzowanych przez niego najwyższych wartości jest jego zasługą — niedostrzegalną — ale wykraczającą daleko poza „udogodnienie techniczne", za jakie krótkowzroczni chcą je jeszcze uważać.

Wanda Borudzka.

Chwytam życie na gorącym uczynku!

Na kryzysowym Kercelaku

Spodnie po 2 zł. — Luksus lakierki po 11 zł. — Wino po 5 gr. i wogóle „chryja, aż się przykrzy"

Fotoreportaż Jacka Burego

Sława Kercelaka przekroczyła już chyba granice Polski! Nie dziwilibyśmy się wcale, gdyby w oficjalnych przewodnikach turystycznych, jako rzecz godną oglądania, wymieniano warszawski Kercelak. Zawiera on i historję, i sprawy społeczne i ten dzień dzisiejszy, twardy i zimny, który każdemu legł na piersiach!

Ongiś plac Kercelego, usadowiony u dawnych rogatek wolskich, był wielkiem targowiskiem. Wojna uczyniła z niego żywiciela rodzin zbiedzonych. Na Kercelak szły pierścionki, zegarki, gramofony, lepsze stroje, lakierki. Później powędrowała ciepła garderoba, pościel, firanki, serwety, wreszcie swą drogę znalazły i meble, zamienione na zwodniczą markę niemiecką, którą po udręce tasiemcowego „ogonka" w sklepie komitetowym wymieniano na „chleb kartkowy".

Ileż to tysięcy osób codziennie, klnąc wojnę okrutną, niosło swe ruchomości na Kercelak, byleby z głodu nie zamrzeć! Ile na tym placu nieszczęsnym zmarnowano za „psie pieniądze" chudoby! Wojna się skończyła! Czy się poprawiło? Rzeka biedoty, jak płynęła, tak płynie na Kercelak, w drżących rękach wystawia na sprzedaż tak potrzebny do życia sprzęt. Ale przecież buta nie ugryzie, więc za lichotę musi go oddać, aby kartoflem żołądek okłamać.

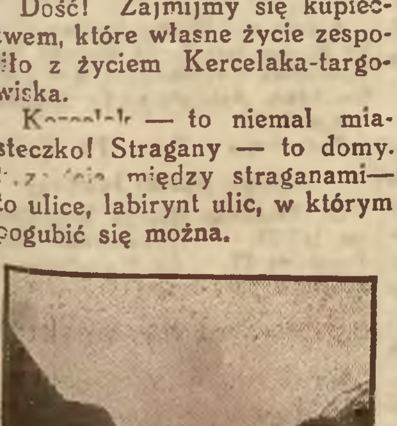
— Ci ludzie żyją z Kercelaka! — powiedział jakiś miejscowy filozof. Będą żyć, dopóki nie wyprzedadzą wszystkich gratów.

Zasklepiły się cokolwiek rany, zadane przez wojnę, przyszedł kryzys (słowo to zna już dziecko w pieluchach!), upiorny kryzys, gorszy od wojny, bo kresu nie widać, bardziej niszczycielski i okrutny.

I tą drogą, którą my kroczymy na Kercelak z aparatem fotograficznym w ręku, szło i idzie legjon ludzi w dzień zwykły, marząc o pełnej misie.

Dość! Zajmijmy się kupiectwem, które własne życie zespoliło z życiem Kercelaka-targowiska.

Kercelak — to niemal miasteczko! Stragany — to domy. Przejścia między straganami — to ulice, labirynt ulic, w którym pogubić się można.



Oto jedna z uliczek. Na lewo i prawo stragany. Czego tam niema? Wszystko jest! Od szpilki do części samochodów, od skarpetek do kapelusza.

— Tu można się najeść, ubrać, umeblować i cały dom rozweselić! Tu można sprzedać i kupić! Stracić i zarobić! Ukraść i być okradzionym!

Kercelak jest uniwersalnym magazynem. Zagranica ma swe wielkie domy towarowe dla pospólstwa, Warszawa swój Kercelak. Proszę spojrzeć!



Zdjęcie przedstawia uliczkę wyrobów żelaznych. Powiedzcie, czego tutaj brakuje? Wszystko jest! Brakuje tylko jednego: klientów, a więc ludzi z pieniędzmi. I oto dlatego w dzień zwykły uliczki kercelakowe świecą pustkami. Kercelak przeżywa kryzys!

— Jak idzie? — pytamy zażywną jejmość przy straganie z butami.

— Kiepsko! — pada krótka odpowiedź. — Klienci chodzą i chcieliby zadarmo kupować. Dziś, panie szanowny, to ludzie zadarmo pracują i zadarmo kupują! A podatki? Te tylko nie znają kryzysu!

— Jaką ma pani klientelę?

— Różną, ale mało kto przychodzi z miasta. Mają „Bata", to poco im Chercelak? A jak ze wsi ktoś przyjdzie, to poprostu gryzie but. Tak go próbuje!

— A dawniej?

Nasza rozmówczyni się ożywia.

— Dawniej, to były takie czasy, że się targowało i po 600 zł., a na niedzielę to wpadło i dwa tysiące!

— Kiedyż to było?

— Pięć lat temu. Nie wysiadywało się wtedy godzinami, jak teraz, z szydełkiem w ręku. Człowiek miał pełne usta roboty, aż język puchł! Dziś to cztery dni przeminie bez „początku". Od kilku dni nie utargowałam ani 5 groszy! Dawniej w budzie miało się po 500 i po 600 par obuwia, a teraz najwyżej 100 i to nie własne! I nie dziwota, że zamykają budę po budzie. Nie chcą pracować na podatki i wolą handlować „bubrem".

— Teraz „Chercelak" — ciągnie dalej zażywna jejmość — nie wart pięciu groszy, a przed laty brylanty! Tylko złodziei szwęda się coraz więcej. Jeszcze na sobotę cała „Wołówka" wali na „Chercelak" i zarób tu człowieku.

— Czy istotnie takie duże są podatki?

— Mówię, jak na świętej spowiedzi! Za te pięć desek w budzie płacę 60 zł. kwartalnie różnych dochodowych, obrotowych i jak one się tam nazywają!

— Do kozy paniusię biorą, że tak opisują? — podchodzi do nas jedna z sąsiadek jejmości.

— To z „Ostatniaka"! — wyjaśnia nasza rozmówczyni i na usprawiedliwienie dodaje: Jak zobaczymy kogo z urzędu, to jesteśmy, jak warjaci. Na zimę, to chyba tylko głupcy pozostaną na placu.

— W jakiej cenie sprzedaje pani obuwie?

— Cena? Panie, dziś niema ceny! Najelegantsze buty sprzedaje się po 10 zł. Za 11 zł. to już luksus lakierek!

— Najtańsze?

— Po 5 zł. Tych idzie najwięcej, ale i to dużo za mało!

Uliczki kercelakowe są więc przeraźliwie puste i żadne znaki na niebie nie mówią, że się wkrótce zaludnią.



Więc babina nad straganem-koszem z pączkami („po 5 groszy sztuka") przepędza muchy i zjeść swój towar będzie musiała sama. Na nic jej poezja reklamowa, którą monotonnie rzuca w pustą ulicę:

— Panowie i panie! U mnie dobre i tanie!

Ludzie pędzą za swemi sprawami, a jak się ktoś obejrzy, to nie na pączki, ale na ciekawy aparat foto-reportera.

— Chodźno pan na jedno słowo! — wzywa kupiec klienta.

Ten widocznie nie jest ciekaw tego słowa i rwie dalej.

— Wino 5 groszy! Wino! — śpiewa dyszkantem szczupłe zjawisko, obarczone wiaderkiem, z którego wyziera kilka szyjek od butelek.

I na wino, choć tylko po 5 groszy, niema amatorów.

— Proszę państwa! Ubrania, spodnie! U mnie hrabiowie się ubierają! Szyntowa Greta Garbo, także samo nieboszczyk Valentino w mojej garderobie wybor robił. Brać i wybrać! — zachwala kupiec. Parska śliną i dzwoni chrypką. I ta reklama dźwiękowa mija bez echa.

A oto na żelaznej barjerze wisi rząd spodni. Właśnie jakiś klient machnął ręką i odszedł.

— Ile pan chciał za spodnie, że klient tak się oburzył?

— Uczciwą cenę! 10 złociszów! To mi nie wolno chcieć, czy co?

— A za ile sprzedałby pan?

— Jakby dał osiem, toby portki wziął.

Ale znów ktoś podchodzi do linji spodni. Targ był widocznie uprzednio przerwany, bo towar już jest wiadomy i dyskusja się wznawia:

— Równe dziewięć! Zgoda?

— Słowo uczciwe honoru, że ostatnia cena dziesięć! Chce paniusia tańsze, dam tańsze!

— Patrz pan na kieszenie! Po swojemu muszę je wypruć i przypasować.

— Kiesienie, to frajer. Oddaję za dziewięć i pół. A jak się pani wróci, to zapłaci dychę!

— Jak jest towar odpowiedzialny,—upiera się klientka—to i kieszenie muszą być odpowiedzialne. Za tandytę chce kupiec tyle pieniędzy? Dziewięć, no już?

— Połówkę paniusia dołoży. Szkoda gadać! Wolno mi 50 groszy zarobić? Magistrat nie patrzy i trzeba płacić!

— Faktycznie magistrat...

Widocznie ten argument przeważył, bo rozwiązuje supełek i wylicza dziewięć pięćdziesiąt. Klientka unosi spodnie, a kupiec zwraca się do nas:

— Słowo honorowe, że tu się naprawdę kona. Parę portczyn sprzeda się dziennie, a jadaczkę trzeba puszczać na kwestę dla całej kieleni!

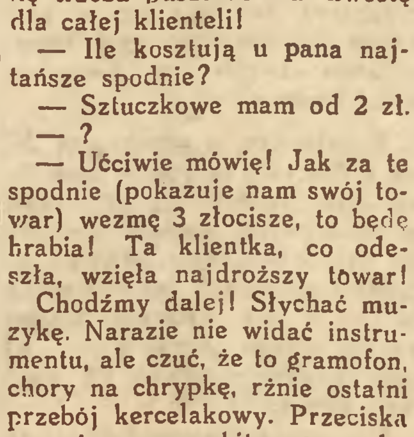
— Ile kosztują u pana najtańsze spodnie?

— Sztuczkowe mam od 2 zł.

— ?

— Uczciwie mówię! Jak za te spodnie (pokazuje nam swój towar) wezmę 3 złocisze, to będę hrabia! Ta klientka, co odeszła, wzięła najdroższy towar!

Chodźmy dalej! Słychać muzykę. Narazie nie widać instrumentu, ale czuć, że to gramofon, chory na chrypkę, rżnie ostatni przebój kercelakowy. Przeciskamy się przez zbitą gromadę. Jest!



Zasłuchanego towarzystwa nie płoszy intruz z aparatem. Pstryk! I widać już na zdjęciu, jak melodja z gramofonu płynie w ucho słuchaczy. To zjawisko normalne na Kercelaku. Chogoło, ale wesoło!

— Zadarmo można mieć tutaj muzykie, tudzież rozrywkie. Same ślagiery! Takżesamo teatralne śtuki są uskuteczniane na płytach za jedne 50 groszy! — wywodzi kupiec podczas przerwy. Kręci korbką. Wnet po syku chrypką odpowie gramofon, a ludzie słuchają, słuchają...

Cóż mają robić? Niejednemu ślinka leci na widok gołębia. Kupiłby, ale płótno w kieszeni! Zdaleka więc sobie tylko popatrzy...



...na napuszone, bieluśkie maleństwa, coby śmigały w słońcu, a serceby rosło!...

Gołębie, króliki i świnki morskie.

— Poco ludzie kupują świnki morskie? — pytam właściciela stojaka.

— Dla celów leczniczych! — odpowiada dumnie, pusząc się conajmniej, jak prowizor.

— Na ten przykład na szczepionki! — dorzuca, widząc nasze zdziwienie. — Podobno reumatyzm wyciągają. Tudzież tępią myszy i szczury. Są bardzo wdzięczne do rozmnażania. Zaraz po urodzeniu chodzą w szerszci, jedzą i biegają.

— A gołębie?

— Gołębiarze! To są specjalne sportowcy. Teraz to i w tej branży krucho. Sezon jest na wiosnę. Wtedy kupują i ganiają. Dziś marnie. Bieda, smród i ubóstwo! Chryja, aż się przykrzy!

Tak mówi druga kategorja ludzi, tych, których życiem jest Kercelak — kupcy. O tych, co bez Kercelaka żyć nie mogą — złodziejaszkach zamilczymy, bo o nich głośno w kronikach policyjnych.

Kercelak jest obłożnie chory, cierpi na kryzys i chyba miał rację gołębiarz, co powiedział, że „chryja, aż się przykrzy"!

PROGRAM RADJOWY

ROZGŁOŚNIA WARSZAWSKA

9,00 Pieśń poranna. 9,03 Muzyka. 9,07 Gimnastyka. 9,22 Płyty. 10,05 Transmisja Nabożeństwa z Poznania. 12,05 Przegląd teatralny. 12.15 Poranek muzyczny z Konserwat. Warsz. 14,00 Muzyka lekka. 15,15 Marsze polskie. 15,25 „Przegląd rynków produktów rolnych". 15,35 Pieśni kaszubskie. 15,45 „Bogactwo w bagniskach". 16,00 „Cygański królewicz" (rec. prozą). 16,20 Recital śpiewaczy. 16,45 Transm. z Krakowa. 17,00 Muzyka ludowa. 17,50 „Książka i Wiedza". 18,00 „Teatr Wyobraźni" nadaje z Poznania oryg. komedję radjową. 18,45 „Budujmy szkoły dla naszej dziatwy". 19,00 Muzyka lekka. 19.50 Feljeton aktualny. 20,00 Koncert wieczorny. 20,55 „Jak pracujemy w Polsce". 21,00 „Na wesołej lwowskiej fali". 21,45 Wiadomości sportowe. 22.15 Koncert reklamowy. 22,30 Wesołe monologi w wyk. Leona Wyrwicza (tr. z Krakowa). 22,50 Muzyka taneczna z rest. „Gastronomja". 23,05 D. c. muzyki tanecznej.

HELENA LIPOWSKA I ANTONI GOŁĘBIOWSKI PRZED MIKROFONEM

Znana chlubnie śpiewaczka dla swego pięknego sopranu, Helena Lipowska, wystąpi przed mikrofonem warszawskim dziś o godz. 16,20 z programem aryj i pieśn, stanowiącym doskonały popis dla jej talentu. Tegoż dnia drugim skolei solistą, obdarzonym pięknym głosem tenorowym będzie artysta Opery Warszawskiej, Antoni Gołębiowski, który da się usłyszeć o godz. 19,00.

PRZED 31 LOTERJĄ PAŃSTWOWĄ

Dnia 18 października r. b. rozpoczyna się ciągnienie pierwszej klasy nowej loterji. Sprzedaż losów już się rozpoczęła. Charakterystyczna jest dla tej loterji bardzo zwiększona ilość wielkich wygranych po 100.000 zł., której obok głównej wygranej w kwocie miljona złotych stanowią największą atrakcję.

Poza tem ogólna liczba wygranych została blisko o 20% powiększona tak, że obecnie na każde 12 losów 7 wygrywa, a tylko 5 zostaje bez wygranych. W ten sposób dotychczasowe wysokie szanse zostają jeszcze bardziej zwiększone.

W pierwszej klasie przewidzianych jest 16.000 wygranych.

Kupon porady prawnej

Wrzesień
30
Niedziela
po św Hieronima

Ze sportu:

Dzisiejsze zawody piłkarskie

Dzisiejsza niedziela w Krakowie obfituje w szereg imprez nietylko piłkarskich lecz i lekkoatletycznych, kolarskich, bokserskich itd. Z pośród tych imprez na pierwszy plan wybija się mecz piłkarski Podgórze—Wisła, jak również mecz o wejście do Ligi pomiędzy Śląskiem (Świętochłowice) a mistrzem Krakowa Grzegórzeckim. Dalej odbędzie się decydujące spotkanie o tytuł mistrza grupy podmiejskiej w kl. B. pomiędzy Bocheńskim a Kablem. Na torze Cracovii odbędą się ogólnoklubowe zawody kolarskie z udziałem najlepszych zawodników krakowskich, zaś w lekkiej atletyce spotka się na bieżni Cracovii katowicka Pogoń z elitą zawodników Cracovii, która wystąpi w swym najsilniejszym składzie za wyjątkiem Fijałki który wyjechał na międzynarodowe zawody do Warszawy. W boksie spotka się Wisła z KS Policyjnym ze Sosnowca który wystąpi z dawnym zawodnikiem Wawelu krakowskiego Kasińskim

Szczegółowo program dzisiejszy przedstawia się następująco:

Liga:

Godz. 15 boisko Wisły Podgórze—Wisła sędzia Kurzweil.

O wejście do Ligi

Godz. 11 boisko Wisły Śląsk—Grzegórzecki sędzia Stopa,

O puhar klasy A.

Godz. 9 boisko 20 pp. Podgórze Ib. —Krowodrza sędzia Sadzik. g. 15.30 boisko Korony Korona—Garbarnia sędzia Giergel.

O mistrzostwo klasy B.

Godz. 11,15 boisko Szkoły podchor. Orlęta—Łobzowianka s Hirsch g. 11.15 boisko Podgórza Bocheński—Kabel s. Schimscheimer.

O mistrzostwo klasy C.

Godz. 9 boisko Legji Maraton—Warsa s. Kochanek. g. .30 boisko Korony Tur—Wolanja s. Liebling. g. 11 boisko Podgórza Nowewiejski—Legjon s. Fryc. g. 11 boisko Unji Ż. T. S.—Gwiazda s. Immerglück. g. 15 boisko Garbarni Tonianka—Zakrzowianka s. Żelisko.

O puhar rezerw klasy A, B i C.

Godz. 8.30 boisko Garbarni Garbarnia III,—Makkabi III. s. Blanfeder g. 9.30 boisko szk. Podchor. Prądniczanka II.—Łobzowianka II. s. Kerz. g. 10.30 boisko Garbarni Olsza II.—Garbarnia II. s. Mermelstein. g. 11 boisko Łagiewianki Hakadur II.—Łagiewianka II s. Zdybalski. g. 11 boisko 20 pp. Cracovia II.—Krowodrza II. s. Pryk. g. 11 boisko Legji Grzegórzecki II.—Legja II. s. Bloch. g. 15.30 boisko Wolanji Prokocim II.—Wolanja II s. Chmielek.

Zawody towarzyskie

Godz. 9 boisko Wisły Orlęta jun. - Grzegórzecki jun. s, Sołak, g. 15 boisko Fablok KS Mysłowice—Fablok s. Herman L. g. 15 boisko Trzebini Patria Trzebinia s. Kowal: g. 15.15 boisko Borku Orlęta—Borek s. Sudar.

Skazanie zwyrodniałego starca

W sądzie okr. w Łodzi odbyła się przy drzwiach zamkniętych sprawa przeciwko 75-letniemu Kaźmierzowi Felisiakowi, oskarżonego o dopuszczanie się czynów lubieżnych wobec 8-letniej Barbary Pach. Sąd skazał zwyrodniałego starca na 1 rok więzienia.

Straszny wypadek w elektrowni

W elektrowni w Bołszowcach Piotr Bodzioch dostał się przez nieostrożność w szprychy koła rozpędowego i poniósł śmierć na miejscu.

KRONIKA KRAKOWA

Wyrok w procesie morderców śp. Garncarzówny

Wczoraj w ostatnim dniu procesu, przeciw mordercom śp. Garncarzówny, na wstępie rozpoczęła się polemika pomiędzy prokuratorem a obroną.

Sala rozpraw już przed godziną 9 rano szczelnie przepełnioną była publicznością żądnej sensacji.

Rozprawa rozpoczęła się przez odrzucenie wniosków obrony co do zabójstwa przez umyślne uszkodzenie ciała. — Natomiast Trybunał zadał sędziom przysięgłym oprócz pytań głównych jakie wczoraj podaliśmy pytania dodatkowe, w kierunku ograniczonej poczytalności oskarżonych oraz w kierunku nieumyślnego zabójstwa przez umyślne uszkodzenie ciała.

Pytania te brzmią:

1) Czy osk. Doniec umyślnie zabił w Krakowie, śp. A. Garncarzównę, celem przywłaszczenia sobie mienia dr. Nüssenfelda.

2) Czy nie zdawał sobie sprawy ze swego postępowania.

3) Czy osk. Doniec jest winien umyślnego zabójstwa.

4) Czy poczytalność osk. Dońca była ograniczoną.

Następne 4 pytania odnoszą się również do Dońca.

Następnie dalsze 8 pytań podobnej treści odnoszą się do Bobrzeckiego i 8 pytań do Schenkirzyka.

Na tem po kilku dyskusjach pomiędzy prokuratorem a obroną, trybunał pytania zatwierdził i oddał głos prokuratorowi.

Prokurator w dłuższej swej replice, dowodził, że wszyacy oskarżeni winni są morderstwa. Prokurator krystalizuje cały przebieg zbrodni, zaś w końcowym oskarżeniu, domaga się surowej kary dla wszystkich oskarżonych.

Następnie zabrali głos obrońcy oskarżonych, adw. dr. Hofmokl-Ostrowski, dr. Augustynek, Bardel i dr. Aschenbrenner.

Po mowach obrońców zabrali głos oskarżeni. Mówili oni, że nie szli mordować tylko kraść. Poczem ława udała się na godzinną naradę. O godz. 5.30 zwierzchnik ławy przysięgłych odczytał werdykt, mocą którego uznano wszystkich trzech oskarżonych winnymi nieumyślnego zabójstwa. Pytanie to zatwierdzono 12 głosami w stosunku do wszystkich trzech oskarżonych. Zaprzeczono natomiast 7 głosami przeciw 5 pytaniu w kierunku zbrodni umyślnego zabójstwa. Werdykt stwierdza dalej, że oskarżeni działali w pełni władz umysłowych.

Po ogłoszeniu werdyktu przemawiał prokurator i obrońcy. Prosili oni o najniższy wymiar kary. Raz jeszcze zabrali głos oskarżeni i trybunał udał się na naradę. Trwała ona około 40 min.

Ogłoszony wyrok brzmi następująco: Schenkirzyk skazany został na 10 lat więzienia, Doniec na 12 lat więzienia, Bobrzecki zaś na 14 lat. Wszystkim skazanym zaliczono areszt śledczy.

CO MÓWI LUD ?

Łajdackie postępowanie meszuresa H. Fischlera z Towarzystwa Ubezpieczeń Assicurazioni Generali

Z różnych stron szerokiej rzeszy naszych Czytelników dochodzą nas skargi na natręctwa niektórych agentów ubezpieczeniowych, którzy niepokoją mieszkańców naszego miasta — narażając na szwank ich nerwy i mienie. Jednym z najohydniejszych kreatur w tym zawodzie jest niejaki Herc Fischler, agent-meszures, podający się za zastępcę — obcokrajowego towarzystwa ubezpieczeń Assicurazioni Generali.

Kreatura ta, w stanie jest 12 razy dziennie niepokoić ludzi— chociaż człowiek by się chciał w jakikolwiek sposób uwolnić od natręctwa tego osobnika — potrafi on jednak tak człowieka złapać w swe wstrętne macki, że dla miłego spokoju — na odczepnego — zgodzi się paść jego ofiarą.

Naturalnie przyrzeka złote góry i przedstawia, że przecież próba ubezpieczeniowa na jeden rok nie wyniesie tak dużo — i złapie podpis takiego spokojnego obywatela na niewystawionym blankiecie — i człowiek jest kontent, że nareszcie się go pozbył. — Dopiero po jakimś czasie otrzymuje się właściwą polisę i ku największemu zdziwienia konstatuje się, że polisa wystawiona jest na 10 lat.

Zwraca się tedy uwagę na gorąco takiemu osobnikowi, to człowieka uspokoi, że to nic nie robi, że to jest czysta formułka, że to faktycznie więcej jak rok nie obowiązuje kontrahenta. — Ale po roku wyłazi szydło z worka — otrzymuje się upomnienie naprzód z Tow. Assicurazioni Generali — a, następnie już od adwokata. Tu się zaczyna droga cierniowa takiego ubezpieczonego obywatela w Assicurazioni Generali.

Zwracał się tedy człowiek po po otrzymaniu listu do adwokata o wyjaśnienie, jak to wogóle prawnie jest uzasadnionem by tak bezczelnie agent mógł spokojnego obywatela złapać w swe drapieżne szpony. Wówczas adwokat rozkłada ręce i odsyła go do Dyrekcji Assicurazioni Generali. Tu go znów odsyłają od Annasza do Kaifasza. Pan dyrektor się tem wogóle nie chce zająć — i znowu odsyła do właściwego sprawcy utrapień obywatela, który się dał namówić na ubezpieczenie w Assicurazioni. Generali. A gdy się człowiek zwróci do tego wstrętnego indywidium z wyrzutami, że go podstępnie dostał w swoje macki — to zamiast człowieka uspokoić i usprawiedliwić swoje krętactwo, to mu jeszcze telefonicznie zagrozi... spoliczkowaniem.

O tem powinni dobrze pamiętać obywatele, jak traktuje klienta indywidjum to podające się za zastępce obcokrajowego Towarzystwa ubezpieczeń Assicurazioni Generali — której biuro znajduje się przy ul. Grodzkiej 26. Czy mało mamy naszych polskich towarzystw ubezpieczeniowych? Czy koniecznie musimy naszą krwawicą tuczyć obcokrajowców?

W najbliższym czasie przytoczymy dalsze praktyki tego towarzystwa i jego meszuresa Fischlera.

Nieudały zamach na rabina

Na dworze rabina cadyka bobowskiego Halberstamma, który przebywa w Trzebini panowało olbrzymie zdenerwowanie.

Oto 12 września br. otrzymał rabin Halberstamm list, w którym żądano złożenia okupu w wysokości 20.000 złotych. Autorzy grozili rabinowi śmiercią w razie niespełnienia ich żądań, lub zawiadomienia policji. List podpisany był Ukraińska Organizacja Nacjonalistyczna.

Rabin oddał sprawę policji, która przygotowała zasadzkę.

W miejscu oznaczonem przez zbrodniarzy złożono kopertę w której rzekomo miały znajdować się pieniądze.

W pewnej chwili podniosła tę kopertę jakaś kobieta z dzieckiem. Kobietę tę aresztowano. Rozpoczęto śledztwo, które dało sensacyjne wyniki. Okazało się mianowicie, iż Ukraińska Organizacja Nacjonalistyczna nie ma nic wspólnego z tą sprawą, a cały pomysł powstał w głowie miejscowych szantażystów.

Obrabowali lekarza

Do mieszkania St. Romana przy ul. Szujskiego 6 włamali się nieznani sprawcy przez wyważenie drzwi skąd skradli 2 futra damskie, papierośnicę srebrną i pistolet automatyczny ogólnej wart. 2.000 zł.

OBWIESZCZENIE.

Dyrekcja Komun. Kasy Oszczędności m. Krakowa

podaje do publicznej wiadomości, iż w tut. Zakładzie pożyczkowym na zastawy ruchome przy ul. Szpitalnej L. 18, odbędzie się

dnia 8 października 1934 roku i dni następnych o godz. 9 rano

Publiczna licytacja

na której stosownie do § 22 statutu Zakładu Pożyczkowego, sprzedane zostaną najwięcej ofiarującemu: kosztowności, aparaty fotograficzne, mikroskopy. niwelator i inne przedmioty, zastawione w czasie do 31 grudnia 1933 roku, a dotąd niewykupione. (od Nr. 19.464 z r. 1930 do Nr. 38.532 z r. 1933) względnie na poprzednich licytacjach nie sprzedane, o ile fanty te zostaną zakwalifikowane do postępowania licytacyjnego.

Wzywa się zatem interesowanych do wykupna lub prolongaty wymienionych zastawów przed terminem licytacji, t. j. najpóźniej do dnia 6 października br., gdyż podczas licytacji prolongaty uskuteczniane nie będą.

Kraków, dnia 15 września 1934 r.

Zarząd Komunalnej Kasy Oszczędności m. Krakowa.

Z teatru im. J. Słowackiego

Niedziela pop. „Szkoła podatników" wiecz. „Migo".

Repertuar kin krakowskich

Adria: „Scampolo",
Apollo: „Wiosenny walc".
Atlantic „Burza" i parada na placu Czerwonym w Moskwie.
Bagatela: „Sekret kobiety" i rewja "Jak za dawnych dobrych czasów".
Muzeum: „100 metrów miłości" i „Fatrol".
Dom żołnierza „Królowa południa
Promień: „Madame Butterfly" i Zapomniana melodja.
Słonko: „Halka" i Fip i Flap w wojsku.
Sztuka: „Radosna godzina"
Świt: „Dzielny chłopiec"
Uciecha; „Karioka"
Wanda; „Twe usta kłamią".
Zorza: „Adjutant jego wysokości".

Radjo

9.00 Audycja poranna 10.05 Nabożeństwo 11.57 Hejnał 12.03 Wiad. meteorologiczne 12.05 10 minut o teatrze 12.15 Poranek muzyczny 13.00 Odczyt 14.00 Gramofon 15.00 Odczyt 15.15 Gramofon 14.45 Odczyt: „Napoje kofeinowe" 16.00 Recytacje prozy 16.20 Recital śpiewaczy 16.45 Opowiadanie dla dzieci 17.00 Muzyka 17.50 Odczyt 18.00 Teatr wyobraźni 18.45 Życie młodzieży 19.00 Muzyka 19.50 Felieton 20,00 Koncert 20-45 Dziennik wieczorny 21.00 Na wesołej fali lwowskiej 21.45 Wiad. sportowe 22,00 Skrzynka pocztowa 22.15 Koncert 22.30 Muzyka 24.00 Wiad, meteor i muzyka.

Nocny i dzienny dyżur aptek.

Apteka pod Złotym Tygrysem Szczepańska 1, pod Aniołem Stróżem Kościuszki 18, pod Temidą Długą 66, pod Barankiem Mikołajska 4, Niebieska Starowiślna 77.

Podgórze pod Hygeą Kalwaryjska 27

Dzienny dyżur aptek:

Apteka pod Złotym Słoniem Grodzka 22, pod Jagiełłą Pl. Matejki 3, Nowowiejska Wybickiego 1, pod Trzema Gwazdami Rakowiecka 12, Sternbachn Dietla 36.

Podgórze pod Orłem Plac Zgody 12.

Nocny dyżur lekarzy:

Dr. Friedman Henryk Wrzesińska 3 tel, 117-79. — Dr. Kaczyński Henryk Topolowa 42. — Dr. Kwiatkowski St. Pl. Matejki 6 tel. 114-01. — Dr. Żabiński Robart Syrokomli 3 tel. 182-68.

Komorne w nowych i starych domach będzie obniżone.

Donoszą z Warszawy, że w łonie rządu rozpatrywana jest sprawa obniżenia czynszów w domach starych i nowych.

Ostatnie wystąpienia organizacyj urzędniczych, przechyliły ostatecznie szalę na korzyść sfer lokatorskich. W związku z tem należy oczekiwać bardzo rychłego zarządzenia obniżki czynszu.

Dziecko żywcem ugotowane

Przy ul. Stawki 20 w Warszawie wydarzył się wczoraj okropny wypadek.

Lokatorka tegoż domu, Szerowa prała bieliznę w kotle z gorącą wodą. W pewnym momencie 3-miesięczne dziecko Szerowej zapłakało. Matka wzięła niemowlę na ręce i nagle straciła równowagę. Dziecko wpadło do wrzątku i uległo tak ciężkim poparzeniom, iż przed przybyciem pomocy zmarło.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków ul. Na Gródku 2 — Telefon 173-02 (od godz. 8—11 w poł.)

CENY OGŁOSZEŃ: w Kronice krakowskiej cała strona 800 zł., pół strony 500 zł. 1 wiersz. mm. 50 gr. Drobne 15 gr. za wyraz.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca Alfred Kwiatkowski

Drukarnia „Monopol" Kraków Na Gródku 2. Telefon Nr. 173-02